

Konrad Luther King

W teatrze zapanowała moda na „Dziady”.

Radosław Rychcik przeniósł je do centrum świata. Czyli do amerykańskiej popkultury.

WITOLD MROZEK

Dopiero co we Wrocławiu Michał Żadara wystawił trzy z czterech części dramatu bez żadnych skrótów, brakującą pokaże tam za rok. Głównym bohaterem był sam tekst, efektownie wystawiony. Przed nami jeszcze białostockie „Dziady” Natalii Korczakowskiej i wreszcie - Mickiewicz według Litwina, słynnego Eimuntasa Nekrošiusa, w warszawskim Teatrze Narodowym. Premiera uświetni obchody 250-lecia teatru publicznego w Polsce. Komunikat jest jasny: Mickiewicz to jądro naszej tradycji dramatycznej, a „pelen guślarstwa obrzęd świętokradzki” z białoruskich kniei przypomnieć trzeba światu.

Tymczasem w Poznaniu Radosław Rychcik już dziś chciał zrobić „Dziady” uniwersalne. Z wschodnioeuropejskich peryferii przeniósł je więc do centrum świata, czyli do amerykańskiej popkultury. Łącząc ogień z wodą, kino z klasyką i wodewilem, amatorów z aktorami - Rychcik stworzył brawurowe przedstawienie. Będzie u nim głośno.

Guślarz Tomasz Nosińskiego przypomina diabolicznego konferansjera z „Kabaretu” Boba Fosse’a. Widma z obrzędu to powidoki klasyki kina. Pierwsza zjawia to Marilyn Monroe (Gabriela Frycz) płacząca po prezydencie Kennedym. Duchy Józia i Rózi wcielają się w upiorne bliźniaczki z „Łśnienia” Kubricka (Marta Szumiel i Grzegorz Gołaszewski). Scenografię Anny Marii Karczmarskiej zaludniają dziesiątki postaci znanych z wielkiego ekranu. Mit dziewczęcej seksualności („niech podbiegną młodzieńce, niech mnie chwycą za ręce”) obsługuje cheerleaderka w towarzystwie witalnych chłopaków z „High School Musical”.

Wchodzących do teatru przy dźwiękach „Ody do radości” Beethovena wita wieloetniczny tłum uśmiechniętych



„Dziady” śpiewane: Dziewica i Guślarz po amerykańsku

statystów. Przerysowana fantazja, spełniony sen o multikulturowym społeczeństwie, gdzie nikt nikogo nie pyta o kraj pochodzenia czy kolor skóry.

Bo najważniejszy punkt odniesienia spektaklu to historia niewolnictwa w Ameryce i jej ciągu dalszego - segregacji rasowej. „Dziady” Rychcika to skarga ciemniejących. Potężnie i dziwacznie brzmi „Zemsta na wroga” („z Bogiem i choćby mimo Boga”) zaaranżowana na negro spirituals, pieśń niewolników śpiewaną przez nagi chór w kajdanach, w półmroku. Salon warszawski przeniósł się do leniwej jadalni jednego z rodów starego Południa. Goście Senatora siedzą w białych habitach Ku-Klux-Klanu, pani Rollison to czarna służąca.

Trochę jak Żadara, Rychcik widzi w „Dziadach” okazję dla feerii scenicznych atrakcji. Niby to spektakl dla młodzieży (widziałem - licealiści bawili się świetnie), niby pomysł jest narysowany grubą kreską. Ale na tym paradoksalnie polega jego siła, siła teatru jako niepoważnego medium dla poważnych spraw.

Wiadomo - w celi Konrada nie siedzieli czarni niewolnicy, a Adam Mickiewicz to nie Martin Luther King, którego słynną przemowę („I Have a Dream”) powtarza Gustaw-Konrad (Mariusz Zaniewski). Rychcikowi chodzi raczej o sen właśnie, o uniwersalną alegorię wolności i buntu, o marzenie i fantazję. Zakończenie przy-

pomina ostatnie filmy Tarantino. Koniec z martyrologią - ofiary biorą groteskowy odwet.

Z drugiej strony, czy amerykańskim kostiumem Rychcik nie podkreślił tylko peryferyjności narodowego arcydramatu? Bycie w centrum, stanowienie tego, co „uniwersalne”, polega na tym, że za nikogo nie trzeba się przebierać. W centrum jest się wtedy, gdy to za nas się przebierają.

Aż tak prosto z tymi przebie Rankami nie jest. Udręczona pani Rollison nie została po prostu zagrana przez czarnoskórą aktorkę - tylko ucharakteryzowana na Aunt Jemima. To postać stereotypowej murzyńskiej służącej odgrywana niegdyś w amerykańskich varietàs przez białych komików z pomalowanymi na czarno twarzami. Maria Rybarczyk też gra z pomalowaną twarzą. Maską goni maskę, cały bał u Senatora rozgrywa się w konwencji teatru w teatrze. Statyści zmieniają się wtedy w publiczność, której dawny Guślarz tonem belfra objaśnia koleje losu uciśnionych Polaków słowami przedmowy Mickiewicza. Nie taki uniwersalny ten los, skoro trzeba go tłumaczyć.

Na koniec - niespodzianka. Wielką Improvizację w poznańskim Teatrze Nowym wygłasza... Gustaw Holoubek. Głos ze ścieżki dźwiękowej „Lawy”, filmowej adaptacji „Dziadów” dokonanej przez Konwickiego, mocno rozbrzmiewa w ciemności, przy pustej scenie. Hold dla poprzednich pokoleń, wywoływanie duchów? Premiera „Lawy” odbyła się miesiąc po wyborach w 1989 roku; romantyczne pozy wydawały się wtedy anachroniczne. Dziś niepoważny niby spektakl Rychcika zostawia nas z pytaniem całkiem serio: na ile dramat Mickiewicza nadaje się do rozmawiania ze współczesnością, na ile zaś jest po prostu elementem kanonu, który znać trzeba, bo stanowi o naszej tożsamości kulturowej? Jednym słowem - po co nam dziś „Dziady”? ●

Adam Mickiewicz, „Dziady”, Teatr Nowy w Poznaniu im. Tadeusza Łomnickiego, reż. Radosław Rychcik, premiera 22 marca